

LEE CHILD

GOVERNMENT —MODEL— COLT CALIBER .22
LONG RIFLE

POZIOM
ŚMIERCI

Jack
Reacher

1

Zostałem aresztowany w barze Ena o 12.00. Jadłem właśnie jajka, popijając kawą. Późne śniadanie, nie lunch. Byłem zmęczony i mokry po długim marszu w deszczu od autostrady do granicy miasta.

Bar był nieduży, lecz jasny i czysty. Nowiutki, urządzone na podobieństwo przerobionego wagonu kolejowego. Ot, wąskie pomieszczenie, z długim kontuarem z jednej strony i kuchnią na tyłach. Wzdłuż drugiej ściany stały odgródzone od siebie stoły. Dokładnie pośrodku znajdowały się drzwi.

Siedziałem za stołem przy oknie, czytając porzuconą gazetę. Pisali w niej o kampanii prezydenta, na którego nie głosowałem poprzednim razem i nie zamierzałem głosować teraz. Na zewnątrz deszcz przestał padać, lecz szyby wciąż jeszcze pokrywały lśniące krople. Nagle ujrzałem zajeżdżające na żwirowy parking radiowozy. Poruszały się szybko, hamowały ze zgrzytem, koguty błyskały — czerwone i niebieskie światła odbiły się w ściekających po szkle kroplach deszczu. Drzwi otwarły się, ze środka wyskoczyli policjanci, dwóch z każdego wozu, z bronią — dwa rewolwery, dwie strzelby. Ostro. Jeden z rewolwerem i drugi ze strzelbą pobiegli na zaplecze, inna para wpadła przez drzwi.

Ja tylko siedziałem i patrzyłem. Wiedziałem, kto jest w barze: kucharz na zapleczu, dwie kelnerki, dwóch starszków i ja. W całej tej operacji chodziło o mnie. Byłem w tym mieście niecałe pół godziny, pozostała piątka prawdopodobnie spędziła tu całe życie. Gdyby to dotyczyło jednego z nich, bar odwiedziłby zawstydzony sierżant. Szurając nogami, zaczęłyby przeproszać i mamrotać coś do nich, w końcu poprosiłyby, by przyszedli na posterunek. Zatem cała ta broń i pośpiech nie były przeznaczone dla nikogo z nich, tylko dla mnie. Wepchnąłem do ust jajko, wsunąłem pod talerz piątkę, złożyłem porzuconą gazetę w mały kwadrat i schowałem do kieszeni płaszcza. Trzymając obie ręce nad stołem, opróżniłem kubek.

Gość z rewolwerem został przy drzwiach. Stał w rozkroku i trzymając oburącz broń, wycelował w moją głowę. Jego towarzysz ze strzelbą podszedł bliżej. Chłopcy byli niezli — szczupli, wysportowani, sprawni i dokładni. Akcja jak z podręcznika. Pole ostrzału rewolweru obejmowało całą salę, wystrzelona z bliska kula ze strzelby mogła rozmazać mnie na szybie. Zamiana pozycji byłaby błędem, w razie walki wręcz rewolwer mógł chybić, a strzał ze strzelby, oddany z większej odległości, zabiłby aresztującego mnie policjanta i starszka przy ostatnim stole. No i oczywiście mnie. Jak dotąd wszystko robili dobrze. Bez wątpienia mieli przewagę. Ciasne ścianki odbierały mi swobodę manewru, za mało miejsca, bym cokolwiek zrobił. Rozłożyłem ręce na stole, policjant ze strzelbą podszedł bliżej.

— Nie ruszać się! Policja! — krzyknął.

Wrzeszczał pełnym głosem. Sam pozbywał się napięcia, a do tego próbował mnie przestraszyć, jak z podręcznika. Wściekłość i wrzask rozmiękczają cel. Podniosłem ręce. Facet z rewolwerem ruszył w moją stronę. Ten ze strzelbą zrobił krok do przodu. Stał teraz za blisko. Ich pierwszy błąd. Gdybym musiał, mógłbym złapać lufę i szarpnąć ją w górę. Strzał w sufit, łokieć w twarz policjanta i strzelba zmieniłaby właściciela. Policjant

z rewolwerem miał mniejsze pole ostrzału, nie mógł ryzykować trafienia partnera... To mogłoby się źle dla nich skończyć. Ale ja tylko siedziałem z podniesionymi rękami. Gość ze strzelbą wciąż krzyczał i podskakiwał.

— Na podłogę! — ryknął.

Powoli wysunąłem się z za stołu i wyciągnąłem przeguby w stronę policjanta z rewolwerem. Nie zamierzałem kłaść się na podłogę. Nie przed tymi wieśniakami, nawet gdyby sprowadzili tu cały personel posterunku z pistoletami maszynowymi.

Ten z rewolwerem okazał się sierżantem. Był dość spokojny. Gliniarz ze strzelbą pilnował mnie, podczas gdy sierżant schował rewolwer, odpiął od pasa kajdanki i zatrzasnął je na moich przegubach. Z kuchni wyłoniła się wspierająca dwójka. Obeszli kontuar, zajęli pozycję za moimi plecami. Przeszukali mnie bardzo dokładnie. Dostrzegłem, jak sierżant potwierdza coś skinieniem głowy. Nie znaleźli broni.

Ci ze wsparcia złapali mnie za łokcie, właściciel strzelby wciąż pilnował każdego mojego ruchu. Sierżant wystąpił naprzód. Był mocno zbudowanym, wysportowanym białym mężczyzną, szczupłym i opalonym, w moim wieku. Plastikowa plakietka nad kieszenią koszuli głosiła: Baker. Spojrzał na mnie.

— Jest pan aresztowany za morderstwo — oznajmił. — Ma pan prawo zachować milczenie, wszystko, co pan powie, może być wykorzystane przeciwko panu. Ma pan prawo do adwokata. Jeśli pana na to nie stać, stan Georgia wyznaczy panu adwokata z urzędu, bez dodatkowych opłat. Rozumie pan swoje prawa?

Całkiem niezła wersja obowiązkowej formuły Mirandy. Mówił wyraźnie, nie czytał z kartki. Sprawiał wrażenie, jakby wiedział, co to znaczy i dlaczego jest ważne dla niego i dla mnie. Nie odpowiedziałem.

— Rozumie pan swoje prawa? — powtórzył.

I znów nie odpowiedziałem. Długie doświadczenie nauczyło mnie, iż najlepszą reakcją jest całkowite milczenie. Powiedz coś, a mogą cię źle usłyszeć, źle zrozumieć, błędnie zinterpretować twoje słowa, co może doprowadzić do skazania i do śmierci. Milczenie drażni aresztującego policjanta. Musi ci powiedzieć, że masz prawo zachować milczenie, ale nie znosi, gdy korzystasz z owego prawa. Aresztowano mnie za morderstwo. Nic nie powiedziałem.

— Rozumie pan swoje prawa? — spytał jeszcze raz Baker. — Mówi pan po angielsku?

Wciąż był spokojny. Milczałem. Miał w sobie spokój człowieka, dla którego chwila zagrożenia minęła. Po prostu zawiezie mnie na posterunek, a potem będę już problemem kogoś innego. Zerknął na swoich trzech towarzyszy.

— W porządku, zapamiętajcie: niczego nie powiedział — mruknął. — Idziemy.

Poprowadzili mnie w stronę drzwi. Ustawiliśmy się w szereg: najpierw Baker, potem gliniarz ze strzelbą idący tyłem — wielka czarna lufa wciąż celowała prosto we mnie. Na plakietce widniało nazwisko Stevenson. On także był białym mężczyzną średniego wzrostu, w wyraźnie dobrej formie. Jego broń wyglądała jak rynna i celowała w mój brzuch. Z tyłu szli faceci ze wsparcia. Ręka jednego z nich, przyciśnięta do moich pleców, wypchnęła mnie za próg.

Na zewnątrz, na żwirowym parkingu było gorąco. Deszcz padał chyba całą noc i większość ranka. Teraz wyjrzało słońce, ziemia parowała. Zwykle byłoby to upalne, zakurzone miejsce, dziś jednak wszędzie wokół unosiła się para. Czuję cudowny zapach mokrego chodnika pod gorącymi promieniami południowego słońca. Uniosłem twarz i odetchnąłem głęboko. Tymczasem policjanci znów się przegrupowali — po jednym przy każdym łokciu, Stevenson wciąż tyłem, wciąż ze strzelbą. Szybko pokonał krótki dystans dzielący nas od radiowozów. Przy pierwszym z nich Stevenson cofnął się o krok.

Baker otworzył tylne drzwi. Policjant z lewej strony pchnął mnie głową naprzód i zgrabnym ruchem biodra wtoczył do samochodu. Nieźle. W takiej dziurze z pewnością stanowiło to owoc treningu, nie doświadczenia.

Siedziałem sam z tyłu wozu, od przednich siedzeń oddzielała mnie gruba szklana tafla. Przednie drzwi wciąż stały otworem. Baker i Stevenson weszli do środka. Baker prowadził, Stevenson siedział obrócony i nie spuszczał ze mnie oka. Nikt się nie odzywał. Za nami podążał drugi wóz. Radiowozy były nowe. Cicha, spokojna jazda, czyste, chłodne wnętrze, żadnych trwałych śladów po zdesperowanych, żalonych ludziach, jadących tam, gdzie ja teraz.

Wyrzałem przez okno. Georgia. Ujrzałem żyzną ziemię, ciężką, wilgotną, czerwoną ziemię. Bardzo długie, proste rzędy niskich krzaków na polach — może orzeszki ziemne? Drobiazg, ale cenny dla uprawiającego bądź właściciela. Czy tutejsze grunty należą do mieszkańców, czy też do wielkich korporacji? Nie miałem pojęcia.

Podróż do miasta trwała bardzo krótko. Samochód z sykiem pokonywał gładki, mokry asfalt. Po niecałym kilometrze ujrzałem dwa budynki — oba nowe, oba starannie wykończone. Posterunek policji i remiza strażacka. Stały samotnie za ozdobionym posągami szerokim trawnikiem na północnym skraju miasta. Ładny przykład wiejskiej architektury i dużego budżetu. Jezdnie wylano gładkim asfaltem, chodniki wyłożono czerwoną kostką. Trzysta metrów na południe ujrzałem oślepiająco białą wieżę kościoła, sterczącą spoza niewielkiej grupki budynków. Widziałem maszty flagowe, markizy, świeżą farbę, zielone trawniki. Obfity deszcz odświeżył powietrze i spłukał kurz, teraz miasto parowało w upale. Bogate miasteczko. Bogactwo swe zawdzięczało zapewne dużym dochodom z farm i wysokim podatkom płaconym przez mieszkańców zatrudnionych w Atlancie.

Stevenson wciąż mnie obserwował. Wóz zwolnił i skręcił

na półkolisty podjazd przed posterunkiem. Ujrzałem przed sobą wykuty w ścianie napis: „Komenda policji miasta Margrave”. Czy powinienem się niepokoić? Zostałem aresztowany w miasteczku, którego nigdy wcześniej nie odwiedzałem, najwyraźniej za morderstwo. Wiedziałem jednak dwie rzeczy. Po pierwsze: nie mogli dowieść, że do czegoś doszło, jeśli do tego nie doszło. A po drugie: nikogo nie zabiłem.

Przynajmniej nie w ich mieście i od bardzo, bardzo dawna.

2

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami długiego, niskiego budynku. Baker wysiadł z samochodu i rozejrzał się. Policjanci ze wsparcia czekali obok. Stevenson okrążył nasz radiowóz, zajął pozycję naprzeciw Bakera, wycelował we mnie strzelbę. Sprawny zespół, bez dwóch zdań. Baker otworzył mi drzwi.

— W porządku, idziemy — rzucił cicho, niemal szeptem.

Kołysał się na piętach, wodząc wzrokiem dookoła. Powoli pochyliłem się i przekręcając ciało, wysiadłem z samochodu. Kajdanki nie ułatwiały sprawy. Na zewnątrz było jeszcze goręcej. Postąpiłem krok naprzód i zatrzymałem się. Wspierająca dwójka stanęła mi za plecami. Przed sobą miałem wejście do posterunku. Na marmurowej framudze wyryto napis: „Komenda policji miasta Margrave”. Pod spodem podwójne szklane drzwi. Baker pociągnął jedno skrzydło, które otwarło się z młasnieniem gumowych uszczelek. Jeden ze wspierających pchnął mnie naprzód. Drzwi zamknęły się cicho.

Wewnątrz panował chłód. Wszystko było białe i chromowane, światła jarzeniowe. Czułem się jak w banku albo w firmie ubezpieczeniowej. Wykładzina na podłodze. Sierżant stał za długą ladą recepcyjną, zupełnie jakby miał zaraz spytać: „Czym mogę służyć, proszę pana?” Milczał jednak, jedynie na mnie

patrzył. Za plecami miał rozległe pomieszczenie. Ciemnowłosa kobieta w mundurze siedziała za szerokim, niskim biurkiem i stukwała w klawiaturę. Uniosła wzrok, zerkając w moją stronę. Stałem bez ruchu pomiędzy dwoma policjantami. Stevenson opierał się o ladę recepcji, nadal celował we mnie ze strzelby. Baker trzymał się z boku i patrzył na mnie, sierżant i kobieta w mundurze także mi się przyglądali, więc i ja spojrziałem na nich.

Potem poprowadzono mnie na lewo. Stanęliśmy przed drzwiami, Baker otworzył je i zostałem wepchnięty do pozabawionego okien pokoju, najwyraźniej sali przesłuchań. Białe stół, trzy krzesła, wykładzina. W górnym rogu kamera. Klimatyzator nastawiono na bardzo niską temperaturę, a ja wciąż byłem mokry po deszczu.

Stałem tak, podczas gdy Baker grzebał mi w kieszeniach, układając mój majątek w niewielki stosik na stole. Zwitek banknotów, kilka monet, paragony, bilety, kawałki papieru. Baker sprawdził gazetę i zostawił mi ją. Zerknął na mój zegarek, ale nie zdjął mi go z przegubu. Nie interesowały go te rzeczy. Wszystko inne trafiło do dużego, zapinanego foliowego worka, wyraźnie stworzonego dla ludzi noszących w kieszeniach znacznie więcej niż ja. Na jego wierzchu nadrukowano biały prostokąt. Stevenson zapisał na nim jakiś numer.

Baker kazał mi usiąść. Potem wszyscy wyszli z pokoju. Stevenson zabrał ze sobą worek. Zamknęli drzwi. Usłyszałem szcęk zamka, niski odgłos dobrze naoliwionej zasuwy, dźwięk wyrażający precyzję. Odgłos wielkiego, stalowego zamka, takiego, który z pewnością zatrzyma mnie w środku.

• • •

Sądziłem, że na jakiś czas zostawią mnie samego. Zwykle tak właśnie się robi. Izolacja budzi w człowieku chęć do rozmowy, a ta z kolei prowadzi często do zwierzeń. Brutalne

aresztowanie i godzina odosobnienia to całkiem niezła strategia.

Myliłem się jednak, nie planowali godzinnej przerwy. Być może był to ich drugi niewielki błąd taktyczny. Baker otworzył drzwi i przekroczył próg, w dłoni niósł plastikowy kubek z kawą. Potem wezwał do pokoju kobietę w mundurze, tę, którą dostrzegłem przy biurku. Ciężki zamek szczęknął za jej plecami. Kobieta przyniosła ze sobą metalową walizeczkę. Położyła ją na blacie, otworzyła i wyjęła długą, czarną ramkę na numer. W środku umieszczono białe plastikowe cyfry.

Wręczyła mi ramkę — jej twarz wyrażała profesjonalne, lekko przeprasające współczucie, jakie często widuje się u asystentek dentystów. Ująłem numer skutymi dłońmi, mrużąc oczy, upewniłem się, że nie trzymam go do góry nogami, i uniosłem pod brodę. Kobieta wyjęła z walizeczki aparat fotograficzny, usiadła naprzeciw mnie, oparła łokcie na stole, by ustabilizować aparat. Pochyliła się lekko, jej piersi dotknęły krawędzi stołu. Ładna babka, ciemne włosy, piękne oczy. Spojrzałem na nią i uśmiechnąłem się. Aparat szczęknął, błysnął flesz. Nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, odwróciłem się bokiem, demonstrując profil. Przytrzymałem długi numer przy ramieniu, wbijając wzrok w ścianę. Aparat znów szczęknął i błysnął. Odwróciłem się z powrotem i wyciągnąłem tabliczkę w jej stronę, oburącz z powodu kajdanek. Kobieta odebrała mi ją z uśmiechem mówiącym: „Tak, to nieprzyjemne, ale konieczne” — znów zupełnie jak asystentka dentystryczna.

Potem przygotowała zestaw do pobierania odcisków palców. Świeżutka karta oznaczona już numerem, taka, na których miejsca na kciuk są zawsze za małe. Na odwrocie widniały dwa puste kwadraty, czekające na odcisk dłoni. Kajdanki utrudniały cały proces, Baker jednak nie kwapił się ich zdjąć. Kobieta posmarowała moje dłonie tuszem. Palce miała chłodne i gładkie,

ani śladu obrączki. Po wszystkim wręczyła mi plik chusteczek. Tusz szedł bez trudu. Jakiś nowy wynalazek. Nie znałem go dotąd.

Wyjęła film z aparatu i położyła go na stole obok karty z odciskami. Schowała aparat do walizeczki. Baker zastukał do drzwi. Zazgrzytał zamek. Moja towarzyszka zabrała rzeczy. Nikt nie odezwał się ani słowem. Kobieta wyszła z pokoju. Baker został ze mną, zamknął drzwi, zamek zaskoczył z tym samym szczękiem. Potem oparł się o framugę i popatrzył na mnie.

— Zaraz tu będzie mój szef — oznajmił. — Musi pan z nim pomówić. Mamy poważny problem. Trzeba go wyjaśnić.

Nie odpowiedziałem. Rozmowa ze mną nie wyjaśni żadnego problemu, ale trzeba przyznać, że gość zachowywał się w porządku, z szacunkiem. Poddałem go zatem próbie. Uniosłem ręce w niemej prośbie, by rozpiął kajdanki. Przez chwilę stał w bezruchu, potem wyjął kluczyk, zdjął mi je i z powrotem powiesił u pasa. Spojrzał na mnie, a ja na niego, opuściłem ręce. Nie odetchnąłem z ulgą, nie rozcierałem przegubów ze zbolałą miną. Nie chciałem nawiązywać bliższych kontaktów z tym gościem.

— Zgoda — rzekłem. — Chodźmy do szefa.

Od chwili, gdy zamówiłem śniadanie, odezwałem się po raz pierwszy. Teraz to Baker sprawiał wrażenie, jakby spadł mu kamień z serca. Dwukrotnie zastukał do drzwi. Ktoś z zewnątrz otworzył zamek. Baker nacisnął klamkę i wezwał mnie skinieniem dłoni. W dużym pomieszczeniu czekał już na nas Stevenson. Strzelba zniknęła, wsparcie też. Powoli wszystko wracało do normy. Ustawili się po obu moich stronach, Baker lekko chwycił mnie za łokieć. Przeszliśmy przez otwarte pomieszczenie do drzwi na tyłach. Stevenson pchnął je i znaleźliśmy się w dużym gabinecie. Wszędzie wokół mnóstwo drewna różanego.

Przy wielkim biurku siedział jakiś tłusciuch. Za jego plecami dostrzegłem wielkie flagi — po lewej gwiazdy i pasy, obszyte złotymi frędzlami, po prawej coś, co jak przypuszczałem, musiało być flagą stanu Georgia. Na ścianie między nimi tykał zegar — okrągły antyk z mahoni, który wyglądał, jakby od dziesiątków lat polerowano go do połysku. Zapewne pochodził ze starego posterunku, który wyburzyli, by zbudować to miejsce. Może architekt wykorzystał go, by nadać nowemu budynkowi atmosferę ciągłości historycznej. Wskazówki pokazywały niemal w pół do pierwszej.

Grubas za biurkiem spojrzał na mnie, gdy Baker pchnął mnie w jego stronę. Miał wzrok, jakby próbował mnie skojarzyć. Po sekundzie popatrzył ponownie, uważniej. Potem wykrzywił się i odezwał skrzekliwym głosem — gdyby nie kiepskie płuca, ów głos wzniosłby się do krzyku.

— Posadź tyłek na krzesło i nie otwieraj parszywej gęby.

Zaskoczył mnie. Wyglądał na prawdziwego dupka — w odróżnieniu od wszystkich, których dotąd spotkałem. Baker i jego zespół byli fachowcami, skutecznymi i sprawnymi, kobieta od odcisków zachowywała się przyzwoicie. Natomiast ten tłusty komendant — strata miejsca! Cienkie, brudne włosy, spocony mimo chłodu panującego w budynku, szara, pokryta czerwonymi plamami cera zapuszczonego grubasa, ciśnienie krwi niebotyczne, arterie twarde jak skały. W ogóle nie sprawiał wrażenia fachowca.

— Nazywam się Morrison — wyrzeźił, zupełnie jakby cokolwiek mnie to obchodziło. — Jestem komendantem posterunku policji w Margrave, a ty mordercą i przybłądą. Przyjechałeś do mego miasta i nabroiłeś na prywatnym terenie pana Klinera. A teraz złożysz pełne zeznanie mojemu szefowi detektywów.

Urwał i spojrzał na mnie, zupełnie jakby wciąż próbował mnie z kimś skojarzyć albo czekał na odpowiedź. Nie doczekał się, pogroził mi więc tłustym palcem.

— A potem trafisz do więzienia — stwierdził — i wylądujesz na krześle. A ja narobię na twój nędzny, zafajdany grób.

Z trudem dźwignął się z krzesła i odwrócił wzrok.

— Sam bym się tym zajął — oznajmił — ale mam mnóstwo pracy.

Kołysząc się, wyszedł zza biurka. Stałem pomiędzy nim a drzwiami. Zatrzymał się nagle, jego tłusty nos sterczał mniej więcej na poziomie środkowego guzika mojego płaszcza. Grubas wciąż na mnie patrzył, jakby coś go zastanowiło.

— Ja już cię widziałem — powiedział. — Ale gdzie?

Zerknął na Bakera, potem na Stevensona, zupełnie jakby oczekiwał, że zapamiętają, co mówi i gdzie to mówi.

— Widziałem już tego faceta.

• • •

Trzasnął drzwiami i zostałem z dwoma gliniarzami, czekając na pojawienie się szefa detektywów. Wysoki, czarnoskóry mężczyzna, nie stary, lecz siwiejący i łysiejący, co tylko dodawało mu więcej godności. Energiczny, pewny siebie, dobrze ubrany w staroświecki tweedowy garnitur. Zamszowa kamizelka, starannie wypastowane buty. Wyglądał tak, jak powinien wyglądać komendant. Gestem odesłał Bakera i Stevensona, zamknął za nimi drzwi, usiadł za biurkiem i dłonią wskazał mi krzesło naprzeciwko.

Z hurgotem otworzył szufladę i wyciągnął magnetofon. Uniósł go na długość ręki, rozplątując sznur. Wetknął wtyczkę do gniazdka, podłączył mikrofon, włożył kasetę, nacisnął nagrywanie i pstryknął paznokciem w mikrofon. Zatrzymał taśmę, przewinął. Włączył odtwarzanie, wysłuchał uderzenia paznokcia, skinął głową, ponownie przewinął i zaczął nagrywać. Siedziałem bez słowa, obserwując go.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza. W powietrzu unosił się jedynie cichutki szmer — powietrze, lampa bądź komputer, albo może obracająca się taśma. Słyszałem powolne tykanie

starego zegara, cierpliwe, jakby czasomierz był gotów tykać całą wieczność, bez względu na to, co zrobię. A potem mój towarzysz wyprostował się na krześle i spojrzał na mnie uważnie. Splótł przed sobą dłonie jak typowy wykształcony elegant.

— W porządku — powiedział. — Mamy kilka pytań, zgadza się?

Głos miał głęboki jak grzmot, ani śladu południowego akcentu. Wyglądał i zachowywał się jak bankier z Bostonu, tyle że był czarny.

— Nazywam się Finlay — oznajmił. — Mam stopień kapitana i kieruję detektywami w tutejszym posterunku. Poinformowano pana o pańskich prawach, ale pan nie oświadczył, że je zrozumiał. Zanim przejdziemy dalej, musimy załatwić tę sprawę.

Nie bankier z Bostonu, bardziej gość po Harvardzie.

— Rozumiem swoje prawa — powiedziałem.

Przytaknął.

— Doskonale — rzekł. — Cieszę się. Gdzie jest pański prawnik?

— Nie potrzebuję prawnika — odparłem.

— Oskarżono pana o morderstwo. Potrzebny panu prawnik. Możemy go panu zapewnić bez żadnych opłat. Chce pan, abyśmy go wezwali?

— Nie, nie potrzebuję go — powtórzyłem.

Facet nazwiskiem Finlay przyglądał mi się długo ponad splecionymi palcami.

— W porządku — odparł w końcu. — Będzie pan jednak musiał podpisać formularz. No wie pan, poinformowaliśmy pana, że może pan otrzymać prawnika i zapewnimy go panu bez dodatkowych kosztów, pan jednak kategorycznie odmówił.

— Zgoda.

Z kolejnej szuflady wyciągnął formularz. Zerknął na zegarek, wpisując datę i godzinę. Podsunął mi kartkę, duży

krzyżyk zaznaczał miejsce, w którym powinienem się podpisać. Finlay wręczył mi długopis. Podpisałem i oddałem mu formularz. Przebiegł go oczami i umieścił w sztywnej teczce.

— Nie potrafię odczytać pańskiego podpisu — stwierdził. — Toteż dla porządku zacznijmy od imienia, nazwiska, adresu i daty urodzenia.

Znowu cisza. Przyjrzałem mu się uważnie. Uparciuch. Na oko, jakieś czterdzieści pięć lat. W stanie Georgia czterdziestopięcioletni czarnoskóry nie mógłby zostać szefem detektywów, gdyby brakowało mu uporu. Nie ma co go podpuszczać.

— Nazywam się Jack Reacher — oznajmiłem. — Nie mam drugiego imienia ani adresu.

Zapisał. Nie było tego wiele. Podałem mu datę urodzenia.

— W porządku, panie Reacher — rzekł Finlay. — Jak już mówiłem, mamy sporo pytań. Przejrzałem pańskie rzeczy, ale nie znalazłem żadnych dokumentów, prawa jazdy, kart kredytowych, nic. Twierdzi pan, że nie ma też adresu. Kim więc jest ten gość?

Nie czekał na mój komentarz.

— Kim był mężczyzna z ogoloną głową? — spytał.

Nie odpowiedziałem. Obserwowałem wielki zegar, czekając, by poruszyła się wskazówka minutowa.

— Proszę mi opowiedzieć o tym, co się stało — powiedział.

Nie miałem pojęcia, co się stało. Zielonego. Coś spotkało kogoś, ale nie mnie. Siedziałem bez ruchu. Milczałem.

— Co to jest *Pluribus*? — zapytał Finlay.

Popatrzyłem na niego, wzruszając ramionami.

— Motto Stanów Zjednoczonych, *E Pluribus Unum*? Przyjęte w tysiąc siedemset siedemdziesiątym szóstym roku przez Drugi Kongres Kontynentalny, zgadza się?

Finlay jedynie mruknął. Cały czas patrzyłem wprost na niego. Ocenilem, iż należy do tych, którzy czasami odpowiadają na pytania.

— O co w tym wszystkim chodzi? — spytałem zatem.

Znów cisza. Teraz nadeszła jego kolej, by na mnie spojrzeć. Widziałem, że się zastanawia, co i jak odpowiedzieć.

— O co tu chodzi? — powtórzyłem.

Oparł się wygodnie, splatając palce.

— Wie pan, o co chodzi — powiedział. — O zabójstwo, z kilkoma bardzo niepokojącymi cechami. Ofiarę znaleziono dziś rano w magazynie Klinera na północnym końcu lokalnej drogi, przy zjeździe z autostrady. Świadkowie zeznali, że widzieli mężczyznę, który oddalał się z miejsca zbrodni. Tuż po ósmej dziś rano. Opis: biały mężczyzna, bardzo wysoki, w długim, czarnym płaszczu, jasne włosy, goła głowa, bagażu brak.

Cisza. Jestem biały, bardzo wysoki i mam jasne włosy. Siedziałem tam ubrany w długi czarny płaszcz, bez czapki i żadnej torby. Dziś rano niemal cztery godziny maszerowałem lokalną drogą, od ósmej do jedenastej czterdzieści pięć.

— Jak długa jest droga? — spytałem. — Od autostrady aż do tego miejsca?

Finlay zastanowił się chwilę.

— Jakies dwadzieścia dwa kilometry.

— W porządku — rzekłem. — Przeszedłem na piechotę całą drogę z autostrady do miasta, dwadzieścia dwa kilometry. Tak pan mówi. Mnóstwo ludzi musiało mnie widzieć. Nie oznacza to, że coś komuś zrobiłem.

Nie odpowiedział. Cała ta sytuacja zaczynała mnie ciekawić.

— Czy to wasz rejon? Aż do autostrady?

— Owszem — odparł. — Nie mamy problemów z jurysdykcją. W ten sposób się pan nie wymknie, panie Reacher. Granice miasta rozciągają się na dwadzieścia dwa kilometry wokół, aż do autostrady. Tamtejsze magazyny są moje, co do tego nie ma wątpliwości.

Zaczekał. Skinąłem głową. Podjął wątek.

— Klinier zbudował to miejsce pięć lat temu. Słyszał pan o nim?

Potrząsnąłem głową.

— Jak mogłem o nim słyszeć? — spytałem. — Nigdy wcześniej tu nie byłem.

— To lokalna szycha — wyjaśnił Finlay. — Jego fabryka płaci olbrzymie podatki. Dużo na tym zyskujemy bez zwykłych komplikacji, bo jest od nas daleko. Staramy się zatem dbać o to miejsce. Teraz jednak stało się ono areną zabójstwa, a pan musi nam wiele wyjaśnić.

Gość robił, co do niego należało, ale marnował tylko mój czas.

— W porządku, Finlay — stwierdziłem. — Złożę oświadczenie opisujące dokładnie wszystko, co zrobiłem od chwili przekroczenia granicy waszego parszywego miasteczka do momentu, kiedy zaciągnęliście mnie tutaj, przerywając mi cholerne śniadanie. I jeśli przyda ci się to na cokolwiek, to dam ci cholerny medal, ponieważ niemal przez cztery godziny w ulewnym deszczu stawiałem jedynie kolejne kroki, pokonując cholerne dwadzieścia dwa kilometry.

Było to najdłuższe przemówienie, jakie wygłosiłem od sześciu miesięcy. Finlay siedział bez ruchu, patrząc na mnie. Widziałem, jak zmagają się z podstawowym problemem, stojącym przed każdym detektywem. Instynkt podpowiadał mu, że nie jestem właściwym człowiekiem, ale przecież siedziałem przed nim. Co zatem powinien zrobić? Niech się zastanawia. Trzeba wybrać odpowiedni moment. Zamierzałem wspomnieć coś o prawdziwym sprawcy krążącym na wolności, podczas gdy on marnuje czas na mnie. To podsyciłoby jego niepewność. Jednakże Finlay ruszył pierwszy, w niewłaściwym kierunku.

— Żadnych oświadczeń — powiedział. — Ja będę zadawał pytania, a ty na nie odpowiesz. Jesteś Jack, bez drugiego imienia, Reacher. Brak adresu, brak dokumentów. Włóczęga czy co?

Westchnąłem. Był piątek. Ze wskazań wielkiego zegara na ścianie wynikało, że dzień do połowy już upłynął. A ten gość,